

Stracone liście



FELIKS BRODOWSKI

Strącone liście¹

WSPOMNIENIE ZE STAREJ DZIELNICY

Liść żółty na ziemi leży. Drugi obok niego, trzeci, dziesiątki ich spoczywają pod lipą, nie dbającą o nie, kwitnącą, wonną, uśmiechającą się do słońca. Deszcze padały przez dni kilka, chłodne ranki zabiły liści wiele i strąciły je. Innym za to przestronniej. Inne weselą się. Słońcu się przekomarzają, pochwytyjąc promienie jego — jak dzieci chwytają wodę w garść, i przelewają cienkie strugi ich na ziemię; chichoczą, gdy wiatr je zaczepi, trącają się pod bok, jak dziewczęta spłoszone, i wygrażają. Bawią się, słowem. Czasem, gdy się nachylą, dojrzą w dole punkta żółte, pociemniałe nieruchome, niby przyrosłe do ziemi, i rzadko kiedy — jeśli wiatr się bardzo rozhula, miotane w powietrzu ruchem słabych, bezwładnych istot. Gdy liście żywe dojrzą tamte — uśpione lub tęsknie ku nim spozierające, wtedy, jakby powiew nudy je znieruchomił, poważnieją nagle i szepleniącą mową prawią sobie jakieś kazania:

„My jesteśmy na swoim miejscu, my mamy stanowiska pewne, których nikt nam zaprzeczyć nie może, i koleje życia, z których nic nas nie wytrąci. Urodziłyśmy się w porę, dojrzały w porę i w porę pomrzemy. U nas wszystko w porę. Odżywiamy się systematycznie, a myśli nasze — nieliczne — i uczucia — jednostajne — mają czas, oznaczony dla nich, i foremki wygodne. My liście porządne”. Tak szepleniąc, uspakajają obawy mętne i trwogę niesłuszną, która przez jedno mgnienie lekkim dreszczykiem je wstrząsła. Uspokojone wracają do słońca i wiatru, udają wielkie damy, które się z wdziękiem wachlują. Bawią się.

A tamte sennie, bezdomne, kolei w życiu nie mające, za jakie winy strącone zostały? Nie jestże to rzeczą straszną, przyjść na świat liściem, dowiedzieć się, żeś niepotrzebny i strąconym zostać. Ile żalów, ile pretensyj okrutnych, ile bólu pożerającego palić musi te listki nieruchome i milczące. Nie dziwno, że schną tak szybko.

Zdaje mi się, że widzę inne drzewo, na którym gęsto, jak liście, obsiadły myśli i uczucia ludzkie. Nastają chłody, padają deszcze i to drzewo traci liści wiele. Krążą one dookoła mej głowy i opadają na nią z jękliwą skargą, lecz gdy im się przyglądam, nie widzę, by one były najgorsze i nieużyteczne.

Więc zdaje mi się, że z nich ktoś uplecie wspaniałe wieńce i złoży je kiedyś na grobie uschłego drzewa, a ludzie żałować będą strąconych i utraconych liści.

*

Przypomniał mi się pewien stary dom i pewien stary człowiek. Póki istnieli, istnieli razem i nie rozdzielali się, wkońcu doszli obaj do jednej furtki i obaj z zadowoleniem spojrzeli na napis, który dla domu brzmiał: zagłada, a dla człowieka: śmierć.

Dom był oznaczony tylko numerem, człowiek nosił nazwisko Baum, Netel Baum; jeden i drugi byli gratami nieużytecznymi i należeli do siebie. Ze zwyczaju mówiono, że dom jest własnością Netela, ale lepiej było powiedzieć, że Netel jest własnością domu. Dom był starszy, wyhodował Netela i zamierzał pogrzebać go w swoich gruzach.

Dom posiadał liczną rodzinę i był w tem podobny do Netela, ale rodzina domu była więcej warta, niż rodzina Netela, wyłączając chyba jednego małego Joela, który póki

¹ *Strącone liście* — utwór został opublikowany w zbiorze *Z jednego strumienia: szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej*. Przedmowa autorstwa Elizy Orzeszkowej dostępna jest w bibliotece Wolne Lektury — Red. WL. [przyjepis edytorski]

był małym Joelem, był wart wiele. Rodziną domu była cała dzielnica, najstarsza i najobszerniejsza w naszym mieście. Powstała ona prawdopodobnie tak samo, jak powstają dzielnice miast na całym świecie, ale że działo się to bardzo już dawno, więc o początkach jej bytu opowiadają różne dziwy, tyle warte, co bajka o bocianie, przynoszącym dzieci, czyli powtarzania nie warte. To tylko pewne, że przyszedłszy na świat, usiadła sobie na szczycie wzgórza i siedzi tam po dziś dzień, zajmując jeszcze i boki jego.

Można ją nazwać rodziną, ale dodać należy, że jest to wygasająca rodzina istot przestarzałych i bardzo odmiennych od pokoleń nowych. Wszyscy tu są poważni i skromni. Ich wnętrza odstraszały dzisiejszych mieszkańców mrokiem i chłodem długich, sklepionych sieni, brukowanych w dole, wązkimi i spadzistymi schodami, obfitością ganków, oplatających piętra lub zawieszonych nad ciemnymi i ciasnymi dziedzińcami, jak mostki spozierające w przepaść. W załomach murów, pod arkadami w sieni, nad odrzwiami, we framugach okien, w lukowych niszach po bokach korytarzy, błakają się okaleczone, zatarte coraz to nowymi warstwami pobiałe wapiennej, ornamentacyjnie i spłowiałe malowidła. Pierwsze uderzają prostotą lub pomysłem, zawikłanym dziecinną jakąś fantazyą, drugie uzmysławiają marzenia współdziercinne, czyste i naiwne. Lecz te okruchy czyichś myśli i uczuć, te echa pogrzebanego już życia, wydają się dziś ludziom jakby niejasne i cudaczne, lub wioną na nich trwogą i zyskują życzenia, by je zniszczono.

Dlatego to, z murów tych, jeśli przyjrzeć się im uważnie, przeciera rozżalenie jakieś, starcze a głębokie, płynące z poczucia tego, że nikt ich już nie lubi, wielu się nimi brzydzi, a nikomu nie upływa w nich życie tak zacisznie, spokojnie lub wesoło, jak upływało tym, którzy, nie lękając się ciszy sklepień, rozpościerali je nad swą myślą czystą, niezmaconą. Taką wydawała się ona murom starym, gdy budziły w sobie zamarłe echa i oplakiwały przeszłość w milczeniu, smutku i pochyleniu starości. Roztęsknienie w nich czuć było wtedy do spoczynku i grobu, jaki zyskało życie, które wypełniało ją dawniej, i czuć było chęć usunięcia się z przed oczu tych, którzy widzieli w nich skrzydła tylko, starości widma, coraz mniej użyteczne rudery.

Te żale, tęsknoty i chęci wymownymi były w dzień, kiedy słońce ze śmiechem wyciągało na jaw wszystkie uszkodzenia, załamania, obnażenia cegieł z pod tynku, pęknięcia — wszystko, co ludzkie usiłowało kleić, malować, łątać, a co nieustannie, uporczywie i jakby z woli samych murów nasuwało się oczom. Podobne były te wydrążone bryły kamienne do starców, którym podają leki, a oni je odrzucają, przeświadczeni o konieczności śmierci i stęsknieni do niej. Słońce się z nich śmiało, a one wołały do niego: „Więc prosz, niech nas rozwał, o prosz!”

Gdy wieczór spowijał starą dzielnicę mgłami, a księżyc nad morzem ich płynąc, urabiał ze spowiniętych w nie budowli mgliste również i olbrzymie postacie, wtedy, choć cichem zawsze, lecz przenikliwszem jeszcze i bardziej wzruszającym było wołanie murów. Zdawało się, że zaklinają one kogoś, by ich nie budził, nie kazał im żyć i nie przywoływał słońca, by światła pogasił, a gwary życia stłumił. Wołały, że to nie mgły je pieszczą i tulą, lecz przyjazne tchnienia tych, którzy ich miłowali dawniej, że to przeszłość wraca i do snu ich kołysze, że one są już tylko widmem, skapanem we mgłę i cichości grobu.

Takie echa w starej dzielnicy płoszyły wieczorną porą przechodniów, którzy wyklinali, że ulice są ciemne, bruki na nich złe, a domy dokoła — podobne do zbójeckich kryjówek.

Lecz świt powracał, otwierając upust gwarom i ruchliwości ludzkiej, a mury półsenne z niechęcią przyglądały się znów nigdy niemilknącej i ruchliwej wiecznie fali życia i, stojąc nad nią a rozmyślając po starczemu, że była ona dawniej głęboka, głęboka i czysta, a dziś jest płytka, płytka i mętna, odsłaniały piętna swej starości, milcząco prosząc: na co my, rozwalcie nas!

Między przestarzałymi dzielnicą tej dzieciny, kamieniczka Netela była zgrzybiałą babką. Nie nosiła żadnych ozdób, była żółta, niska, szczupła. Wątle jej ściany trzymały się prosto dlatego tylko, że je ścisnęły budowle wprawdzie nie nowe, lecz potężne grubością murów. Dla ludzi, którzy nie patrzyli na nią złem i niechętnem okiem, kamienna ta staruszka wzruszającą się wydawała skromności swej starczej i przytuleni do bark synów — olbrzymów.

Do wnętrza jej wchodziło się po kilku kamiennych schodkach. Na pierwsze piętro trzeba było gramolić się po spadzistych, jak drabina, schodach. Kto z nich nie spadł, ten na pierwszej platformie, u skrzyżowaniu schodów, zatrzymał się z pewnością dla przywitania

dwóch wizerunków na ścianie. Jednym była głowa rycerza, drugim — króla. Każda z nich umieszczona była na niebieskim tle i ujęta w ramkę — zielone kółko. Rycerz posiadał pióropusz i hełm, podniesiona przyłbica odsłaniała profil jego oblicza, któremu od bardzo dawna usiłował on nadać marsową minę, ale wcale nie był straszny i za życia, bezwątpienia, muchy nawet nie skrzywdził. Król, jak się każdy domyśla, nosił na głowie koronę; dwa zwoje zielonych włosów okalały jego twarz pociągłą i żółtą, a opadając na ramiona, zawijały się w dwa symetryczne kółka. Nikt nie zdoła opisać, jak ten król łagodnie spoglądał i jak niepojęcie dobrym być musiał.

Jeszcze kilka niebezpiecznych skoków i jesteśmy u Netela Bauma.

*

Netel stary, Netel niedołężny, Netel niemądry już, jak dziecko.

Tak mówią ludzie, ale jacy?

Był pewien łotr, Glik, szalbierz Glik lub lichwiarz Glik, jeśli wolicie. Imienia nie pamiętam. Otóż Glik ten, który podobnie, jak Baum, żydem był a głównie złodziejem i niecnotą, prowadził od wielu lat proces z Baumem o stary dom. Nie wiem na czym opierał swoje pretensje i zdaje mi się, że nie miał nadziei wygrania w sądzie sprawy, ale był zmorą dla domu i dla Netela, gdyż pierwszemu groził, że go kupi i rozwali, a drugiego nazywał publicznie niedołężnym i głupim.

Nic na świecie nie wywołuje tak głośnego echa, jak nikczemność. Z tego to powodu wiele ust ludzkich powtarzało, że stary, żółty dom jest zakałą dla ulicy, a Netel dziedziciniałym starcem.

Wigdor i Szloma, synowie Netela nie zaprzeczali temu, ale kimże byli Wigdor i Szloma? Były to zwierzęta złe, ograniczone i szkodliwe. We dwóch dźwigali oni na swych sumieniach więcej ludzi rozpaczą zabitych i rękami ich do zbrodni popchniętych, niż wyliczyby mógł najstraszniejszy rozbójnik, ukarany sprawiedliwością ludzką. Wigdor i Szloma nigdy sędownie karani nie byli, to więc, co czynili, czynili z takim spokojem, z taką pewnością siebie, z takim dobrodusznym uśmiechem, na jaki nie zdobyłby się żaden zbrodniarz, gdyby nie był upewniony, że to, co robi, jest dobrem, sprawiedliwym i pożytecznym. Oni byli upewnieni o tem w takim stopniu, że uważali lichwę, zysk, zdzierstwo, samolubstwo, nienawiść za zasadę, więcej niż za zasadę, za coś jedyne, swoistego każdemu człowiekowi, o ile nie jest zwaryowanym starcem, niedoświadczonym dzieckiem lub upośledzonym gojem, za coś takiego, o słuszności czego ani wątpić nie można, ani rozprawić, ani jej dowodzić i o niej przekonywać, gdyż wypływa ona sama z siebie i leży w naturze rzeczy. Netel np. wątpił o tem i, sam będąc całe życie tylko kupcem win, nie zaś lichwiarzem, zdolny był żalować wyrobnika, którego narzędzia rzemieślnicze Wigdor za dług nieopłacony sprzedawał. Dlatego Wigdor i Szloma, podobni Glikowi, widzieli w ojcu swoim jakies niezrozumiałe kalectwo duszy, które niczem innym być nie mogło, jak ułomnością lat starczyc.

Starym on był, nawet bardzo, gdyż dobiegał ośmdziesięciu lat, ale umysł jego nie był jeszcze kalekim. Przeciwnie, od niewielu lat dopiero Netel zrzucił z myśli swojej ciężar, który ugniatał ją w ciągu całego prawie życia, i pozwolił jej pracować zupełnie swobodnie, nie dręcząc się obawą straconego czasu i korzyści. Starość przeszkadzała mu trochę w tej zapóźnionej robocie, myśli mu się wymykały i rozbiegały, męczyć się musiał, by je powiązać i światło w nich rozniecić, ale miał teraz na to czasu wiele, mógł myśleć, rozpałmiętywać, rozważać i nikt nań nie wołał: „Netel, zaniedbujesz twoje kupieckie sprawy!”

Netel był kupcem win. „Byłem biednym żydkiem i musiałem się dorabiać — tak się zaczyna wątek jego wspomnień — z początku u obcych ludzi pracowałem wiele, by wyżywić siebie samego i nie miałem wtedy nic; później pracowałem dwa razy więcej, bom się ożenił; potem przybyły dzieci i musiałem pracować znów dwa razy i trzy razy więcej, ale wtedy pracowałem już na swoim. Przyszła taka chwila, że mogłem się nie troszczyć o to, co ja będę jadł, i moja żona, i moje dzieci; interes był już bardzo rozwinięty, szedł dobrze, nie godziło go się opuszczać. Więc prowadziłem dalej mój handel — uczciwy handel dobrem winem, wiedzą to wszyscy — aż do czasu, kiedy nie mając się kim wyręczyć, a sam stary będąc, sprzedałem go. Moi synowie nie mieli ochoty do tego handlu, ich głowy pełne były spekulacji, które przynosiły im więcej zysków, niż mnie mój handel,

więc wyposażylem ich i pozwoliłem robić, co im się podoba, a sam zacząłem odpoczywać, bo to mi się należało. Teraz, jeśli patrzę przed siebie — to widzę grób, a jeśli za siebie — to widzę długie, uczciwe, pracowite życie, a przecież nie mam spokoju... Tak, ja Netel Baum posiadam czyste sumienie, ale nie zarobiłem sobie na słodki spokój, i gdy patrzę na ten grób, i na to życie moje, to mi jest żal czegoś, i wzdycham, i chce mi się przed kimś skarżyć”...

Takby Netel opowiadał swoje życie, gdyby słowa przybywały na wołanie jego myśli i gdyby ktoś chciał ich słuchać.

Netel źle sypia. Przed zaśnięciem czytuje którą z ksiąg *Talmudu* lub gazetę, ale już i oczy jego się męczą, już i głowa bezwładnie cięży na poduszce, a sen nie przybywa. Wtedy przygasza lampkę i nie próbując zasnąć, zaczyna myśleć. Oczy jego błakają się długo jeszcze po tem, co go otacza, zanim myśl jego zaczepi o jakie wspomnienie.

Prócz oddechów śpiących ludzi nic nie mąci ciszy. Przygasłe blaski lampki, padając na ściany, wywołują na nich w mglistem przyćmieniu stare malowidła... Na jednej ścianie odmalowana jest purpurowa, rozchylona kotara, na innej jakieś naczynie z olbrzymiem winnem gronem, dalej zielony ptak z gałązką w dzióbku, dalej kwiaty dziwaczne, liście, owoce napiętrzone w stosach. W tem miejscu, gdzie rozchylają się zwoje purpurowej kotary, wisi portret Mozesa Montefiore. Kto uczcił dobrego żyda, umieszczając tam jego wizerunek? Ta, która w dziecięcym napoły i szalonym napoły wylewie uczuć swoich i uwielbień całowała siwowłosą głowę na tym portrecie wtedy, gdy Netel opowiadał jej o życiu, o wielkiem sercu i umyśle dobrego żyda. Mała, dziecko mała rączka Esterki zawiesiła w tem miejscu stary, spłowiwały wizerunek...

Od kilkudziesięciu lat Netel zna najdrobniejsze szczegóły tych malowideł i tego portretu, jak zna wszystko, co znajduje się w alkowie. Zdaje mu się, że do każdej z tych rzeczy przylgła jakaś część jego życia.

Winne grono przypomina mu podróże do węgierskich winnic. Podróże te zabrały mu niejedną chwilę życia, a w zamian dały mu tyle pięknych obrazów, że gdyby je pamiętał wszystkie, to teraz nie odrywałby od nich wzroku. Ale nie pamięta, czasem przypomni sobie jakąś górę porośłą lasem, to przypomina jakieś rozległe, bezgraniczne płaszczyny, ozłoczone zbożem. Pamięta, że winnice ładnie pachniały... A i to jeszcze, że w ciągu długich podróży skracał sobie czas, idąc pieszo; gdy zmęczony odpoczywał pod drzewem, na brzegu urwiska lub tylko w polu, przychodziło mu życzenie, żeby się nigdy z tem miejscem nie rozstawać, żeby nie wracać do miasta i żyć zawsze pod gołym niebem... Był wtedy bardzo młody i prędko zapominał o tych marzeniach. Teraz je sobie przypomina, uśmiecha się do nich i żałuje, czemu nie widział więcej gór, lasów, równin, obłanych złocistym morzem.

Malowidła tylko spłowiwały i zbladły, lecz czas je zachował. Czemuż zniszczył, zabił istotę, która przez lat wiele patrzała na nie? Czemuż w tym domu niema już Esterki, ukochanej, jak zorza pięknej, dobrej Esterki, Netelowej żony? Czemuż choć cień jej nie został, choć obraz jej, choć ślad jej stopy, choć echo jej głosu! Gdy Netel brał ją za żonę, ona była dzieckiem prawie, on bardzo młodym chłopcem; oboje byli tak jeszcze niemądry, że ani cenić, ani pojąć, ani czuć w każdej chwili nie umieli tej miłości wielkiej, jaka ich związała. W tym czasie tyle musieli pracować, iż nie mieli czasu myśleć o sobie, dość im było, że czuli się przy sobie, że byli razem. A przecież nie mogło być nikogo piękniejszego od Esterki i nie mogło być większej rozkoszy, jak usiąść przy niej, patrzeć na nią i słuchać jej głosu zapomniawszy o całym świecie. Netel pozwalał sobie czasem marzyć o takim życiu, i zawsze odkładał je na później. Nawet nie całował Esterki, nawet jej nie pieścił, gdyż głowa innemi myślami była zaprzątnięta i czasu na to nie było. Kiedyś będzie czas, kiedyś głowa będzie nie tak skłopotana. Tymczasem on postarzał, ona straciła urodę i umarła zmęczona, spracowana.

Teraz Netel przypomina sobie wszystko: jaki był kolor włosów Esterki, i jaki był jej uśmiech, i jaką piosnkę nuciła — kołysząc małego Wigdora, i w jakie suknie się ubierała, i jakie wstążki lubiła; pamięta, że nie cierpiała Glika, że była dobrą dla małej dziewczyny sieroczej, z ulicy wziętej i w domu ich chowanej. Widzi ją tylko młodą i nie może przypomnieć, jak wyglądała później, gdy się zestarzała. Pod starczemi powiekami tkwi obraz jej pięknej główki, uspiętej na rozmiotanych po poduszce włosach; widzi jej pierś szczupłą, drobną jak u dziewczęcia, i nierówno, pospiesznie oddychającą; dostrzega drgania, które

we śnie przebiegają lekko topo ręce jej, to po piersiach lub ustach... Wszystko pamięta i wszystkiego żałuje...

„Biedna Esterko moja, któż nam wróci naszą młodość? Gdzie i kiedy wypowiemy tę miłość, o której tylko milczeć umieliśmy? Życie nasze było szare, a w rękach ściskaliśmy brylanty, które je oświecić mogły”. Takby wypowiedział Netel żal swój, gdyby słowa posłuszne były jego myśli.

Gdyby Esterka żyła, ze swych wnuków wszystkich kochałaby najwięcej małego Joela, syna Wigdora. Chłopiec ten jest do niej podobny. Posiada jej oczy, szare, żywe, odbijające ruchliwą duszę, kąpiącą się w dobroci i słodyczy; jej kształtny, cienki nosek z ruchomymi nozdrzami; czystą i smagłą cerę, która prześwieca czasem bladością, a czasem pokrywa różowym cieniem; czyste białka i źrenice; drobne białe zęby i usta malutkie. W chłopcu tym, jak niegdyś w Esterce, coś nieustannie kipi, rzuca nim, lub rozmarza go. Będzie tak pięknym jak Esterka, ale czy będzie tak dobrym? Myśl ta bardzo niepokoi Netela.

Czemu Wigdor i Szloma nie są tacy, jakimi byli ich rodzice? Czemu dziś pełno takich ludzi, jak Glik? Dawniej nie było ich tylu i jeśli rodzice byli porządnymi, uczciwymi ludźmi, to i dzieci ich były takimi. Netel nie wyobrażał sobie nigdy, żeby można było urządzić życie nie tak, jak ono było u niego urządzone, żeby można było — nie pracować. Tymczasem nagle wyrosła koło niego masa Glików, a własni jego synowie niewiadomo kiedy oswoili się z nowymi warunkami życia, pojęli je, zastosowali, dziś wierzyć nie chcą, że można żyć inaczej i są obcymi dla własnego ojca. Czy więc on, Netel, winien jest temu, że synowie jego nie pracują, tylko żyją z lichwy i zdzierstwa? Jakże on miał to uprzedzić, kiedy nie wiedział jak i kiedy nastąpiła jakaś wielka zmiana na świecie. Dziś wie tylko, że wiele rzeczy mu się nie podoba. W tym domu płacz ludzki nie był nigdy skargą skrzywdzonych, a teraz Wigdor i Szlomawyrzucają za drzwi tylu biedaków, którzy przychodzą prosić, by nie sprzedawano im za długi mienia. Jak uczynić, żeby Joel był lepszym od swego ojca? Jak uczynić, żeby Joel mógł zobaczyć góry, lasy wielkie i równiny bezgraniczne i żeby na starość nie żałował, iż nie miał czasu kochać nikogo.

Myśli Netela gubią się w jakimś wielkim niepokoju i pokrywają się żalem. Znów pragnie on skarżyć się przed kimś, „czemu starość moja nie jest zadowoloną i spokojną, czego brak było memu życiu?...”

Szabas.

Zbliża się cichy wieczór zimowy. Zejdźmy do żydowskiej dzielnicy.

Ulica zbiega w dół po lekkiej pochyłości wzgórza. Jest prawie pusta i z każdą chwilą staje się cichszą. Czasem jeszcze skrzypną gdzieś zawiasy u drzwi sklepionych, zamykanych spiesznie, rozlegnie się łoskot zasuwanych sztab żelaznych, lub zgrzyt klucza, obracanego ręką dziewczyny, wyrostka czy starca, którzy wnet znikają. Przed chwilą było tu gwaro i tłumno; niewiadomo kiedy wszyscy zdążyli się poukrywać, a jak spieszno im było, poznać można po zapóźnionych i biegnących pędem. Twarze mężczyzn nie wyrażają nic prócz gorączkowej niecierpliwości i pośpiechu, zdaje się, że po jednej odbytej pańszczyźnie czeka ich druga; za to dziewczęta są rozradowane, umykają jakby je gonił mróz, którego nie lubią, czy nuda, która więziła je w sklepach, trzymając się pod ręce po dwie, trzy, cztery, wstrząsając plecami z zimna, trącając się, śmiejąc, biegnąc, zabierając z sobą resztki gwaru i życia z ulicy.

Pustka. Czems dziwnem i niewytłomaczonym wydaje się ona dla umysłu przechodnia, zbłąkanego w tej dzielnicy. Gdzie ludzie? Gdzie życie? Czy głos czyjś potężny przebiegł tędy i odwołał wszystkich od zajęć zwykłych i zebrał ich daleko od miejsc tych, dla wysłuchania jakiej mowy z innego świata?

Na bladym niebie księżyc, zaokrąglający się w pełnię, jarzy się srebrzysto-żółtawą jasnością. Na ulicę spada mrok pierwszy, najlżejszy, nieuchwytny; odgadnąć go można po tym tylko, że domy rysują się w czystości, jakby czyjaś ręka pościerała z nich brud, plamy, piętna zniszczenia.

Tu i ówdzie przez okna widać płonące, wieloramienne świeczniki. Bogacze poczynają święcić szabas, a biedni nie uporali się z robotą. Oto zaturkotał wóz, żyd stary pogania gwałtownie konia. U wejścia do piwnicy jakiejś, trzech, również starych żydów, z mozołem wielkim zatacza ciężką beczkę. Spieszą się, krzyczą, spychają swój ciężar z taką nienawiścią, jakby to był wróg zabity, którego jak najprędzej ukryć trzeba w ciemności grobu. Być może, iż wstydzą się tylko pracy zapóźnionej, obrażającej święto; za chwilę

będą się modlili. Są starzy, zmęczeni, spracowani, biedni, ciemni, lecz goniąc sił resztą, usiłują na chwilę jedną zatoczyć swą beczkę, w której przelewa się biedne ich życie, do szopy spokoju, a sami pobiegną do zagadkowego miejsca, świątynią zwanego i utoną w kontemplacji wielkiej i grubej zasłony, którą ręce rabinów będą szarpały, o którą uderzać będą głosy śpiewaków. Za tą zasłoną spoczywa nieskończoność i nieśmiertelność. Więc i tych biedaków ona nęci! Więc to jej tchnienie przeleciało nad dzielnicą, zgaśło życie, zdmuchnęło nikłą piankę codziennych i nędznych ziemskich zabiegów. Ah! ah! Netel modli się również, i mały Joel także. Czy ręka rabina i głos śpiewaka uchyla przed nimi choć rąbek, małeńki rąbeczek zasłony, okrywającej wielką jasność, niepojęte szczęście, słońce tak piękne, jak ich życie jest brzydkie!

Ulicę zamyka mały, kamienny mostek, wsparty na jednej, nad wązką rzeczułką przeruconej, arkadzie. Dalej jest jeszcze kilka domów, uszeregowanych poprzecznie do ulicy, u podnóża wzgórzka, którego boki obnażone, czerwieniejące gliną, przezierają między murami domostw. Na szczycie wzgórzka — kościół stary, stary.

Słyszycie? Znowu czyjś głos wzywa do modlitwy. Cichy, srebrny głosik pękniętego dzwonka uprasza, by odmówiono wieczorną modlitwę. Czy z tego wzgórzka widać nieskończoność? Wejdźmy tam.

Widać miasto i zachód. Pod gorejącym na połowie nieba zachodem leży miasto, to jest ogromna masa okruchów, bryłek, odłamków kamiennych. Zdaje się, że w tym miejscu strzaskano skalę i szczątkami jej obsypano wzgórze jakies i podnóża jego. A zachód jest ze złota, więc ciężki niezmiernie, i coraz niżej, niżej nawisa nad miastem; już chmury ozłoczone naległy ciężko na mury i kilka wieżyc, które, zdaje się, iż podpierają całą kopułę. Za wieżycami temi jest tło ogniste, a one same czarne, i im więcej przygniata je zachód, tem one wyższemi i potężniejszymi się stają. Pod nimi miasto zapada powoli w jakąś otchłań, dłoń mroku przeistacza je z dzieła rąk ludzkich w marę bezcielesną i pociąga je kędyś w dół. Coraz mniej już rozpoznać można dachów, ścian, kominów, murów — coraz więcej wyrasta widm, spowiniętych mgłą. Jeszcze chwila i dla złudzeń dziennych następuje koniec: niema zachodu, niema miasta. U stóp naszych zebrało się wiele mglistych, nieforemnych postaci, które przytulają się jedne do drugich, opierają się na sobie, tłoczą się, zlewają w jedno... Las się nam wtedy przypomina, spowijany rękami wieczoru na sen cichy...

Ach, zejdźmy stąd, czyjś oddech żalony i tęskliwy przeleciał nad miastem, nad wzgórzem i niepokojem owionął duszę...

Ulica ożywia się na chwilę. Z wązkiego zaułka, prowadzącego do bożnicy, wysypuje się tłum czarnych postaci i szybko topnieje, rozprasza się po dzielnicy, zatruwożywszy usypiające domy echem głośniego szwargotu.

Zostają tylko dwa ciche cienie, które posuwają się bardzo wolno w mroku pod murami i przybierają kształty człowiecze wtedy, gdy ominąć nie mogą blasków księżycowych lub promiennego kręgu dokoła latarni.

Czemu Netel i Joel nie spieszą z powrotem do swych ognisk domowych, czemu idą tak wolno, jakby coś ich odpychało od miejsc, do których dążą, a zatrzymało ich u tych, z których wracają?

Bo dusze ich są rozmarzone modlitwą i śpiewem i oderwały się na chwilę od świata, w którym wędzną. Usłyszeli w jakimś ukryciu ich duchów zrodzony dźwięk, który w powszedniej piosnce życia wcale się słyszeć nie dawał i pragną w tej chwili, by dźwięk ten w słuchu ich nie zamierał i przywołał inne, równie piękne. Dlatego nie spieszą się z powrotem do domu, idą wolno i obierają najdłuższą drogę.

Domy, które mijają, podobne są do brzękliwych uli, ogarniętych we wnętrzu płomieniami, które luną dobywają się z okien. Zamknięte w nich roje istot ludzkich sprawiają taki gwar, taki hałas, jakby to były pszczoły strasznie wylękle i mające wszystkie wyjścia przed sobą zamknięte. Joel, przechodząc koło okien, zadziera główkę i ciekawie szuka tych spłoszonych pszczołek, lecz dostrzega tylko czapkę, trzęsącą się na czyjejs głowie, lub czepkę, który zdaje się, iż sam biega, lub ułamek jakiegoś przedmiotu, trudnego do odgadnięcia. W brzęku pszczoł Joel pochwytuje słowa modlitwy lub śpiewu, czasem słyszy tylko odgłosy kłótni, swarów, czy też krzykliwej rozmowy. Są to zwrotki powszedniej, dobrze mu znajomej piosnki, którą nauczył się już rozumieć, gdyż przysłuchuje się jej codziennie.

Szeregi kamienic, ogniem we wnętrzu wypełnionych, kończą się u wejścia do ciasnego i ciemnego zaułka, który wyprowadza Netela i Joela na drewniany most. Pod mostem starym, przegniłym, snuje się lodowata wstęga rzeczki. Nad brzegami jej czepiają się parkany wysokie, a stare, krzywe, chwiejne i ku ziemi ciężące; domostwa, których ściany rozpełzają się w strony różne; budynki dziwaczne, szopy jakieś, czy spichrze drewniane, natłoczone bezładnie, podpierając się wzajem, a tak za brzeg przechylone, że zdajesię, iż lada chwila runą i masą próchna zasypią rzeczkę. Jak kupy desek kędyś w kącie porzuconych, zapomnianych, przez czas poczerniałych i gnijących powoli, tak te gromady walących się budynków czekają, by je uprzątnięto, a tymczasem przytułkiem są nędzy.

Teraz, gdy mrok nastąpił, ukazują się w nich szczeliny ogniste — małe, czerwienią światła gorejące okienka — i opowiadają o czyjśm życiu tak biednym, tak czarnym, tak zapomnianym, jak jego schronienie.

W rzeczkę wysypuje się, zrzuca, spycha — wszystko, czego nędza nawet zużyć nie może. Czarne, przemarzłe, wielkie jak wzgórze, kupy śmiecia spoczywają na lodowej powłoce. Rzeczka pod niemi znika, one ją pochłaniają, nie starczy wody by je zatopić, niema prądu, któryby je unioś. Czekają uprzątnięcia swego, jak domostwa nad niemi, a tymczasem sterczą i piętrzą się na sobie, niekształtne, rozplaszczone, jak istoty wstrętne, zdjęte wstydem, że ukryć się nie mogą. Wąziutka tylko wstążeczka lodu wolną jest i kapryśnymi zwroty omija nieczystość.

I lód ten jest brudny, lecz księżyc obsypuje powierzchnię jego brylantami.

Netel i Joel zatrzymują się na mostku.

Ile razy przechodzą tędy wieczorem, muszą choć na chwilę oprzeć się na wątlej, drżącej pod ich naciskiem baryerce i rozejrzeć się dokoła. Może każe im czynić tak jakaś istota niezmiernie dobra i piękna, choć niewidzialna. A może tylko cisza tych miejsc i księżyc.

Cisza i księżyc panują tu, choć dziwnem się wydaje, czemu te wybrzeża nędzy pieści cisza, a nie jęk lub głośna skarga, czemu całuje je księżyc, a nie ogarniają ciemności!

Małe, niskie domki nie zasłaniają tutaj olbrzymiego stropu, po którym płynie krąg, blade świecący. Joel przygląda się temu kręgowi, i bezdennej, posępnej głębi, w której on pływa. Tam cicho, a w domach ludzkich gwar taki.

I tam cicho, dokąd zdąży wstęga lodu. Robi ona jeden zwrot, potem drugi, potem przesuwa się pod czemś, co jest białawe i niewyraźne, potem zaślizguje się pod mgły i znika. Co to jest to białe pasmo? Joel nie może sobie przypomnieć, dotyka leciutko czarnego, zgiętego na baryerce, łokcia dziadka, drugą rękę wyciąga i wskazuje:

— Co to jest?

Netel długo szuka przedmiotu owego w przestrzeni.

— To jest mur... dom tam był — zwalony już.

Mur. Joel widzi go teraz wyraźnie. A za murem wie, co jest: mgły spoczywają na polach, gdyż miasta już niema, i są białe ze śniegu wzgórze — niepodobne do tych, jakie widzi się latem.

Netel nie myśli o wzgórzach. Wzrok jego dostrzegł nikły snop światła, padający na kupę gnoju i śmiecia — czerwony blask szabasowy, który, wydarłszy się z małego okienka, bez wstrętu dotknął nieczystości. Ten blask niepokoi starego żyda, a potem wzruszać go zaczyna.

Netel patrzy na ozłocone śmiecie, na brylanty, rozrzucone po zabłoconym lodzie, i zdaje mu się, że to czyni sam Jehowa, który tak jest dobrym, że pozwala w bożnicy modlić się nie tylko bogatym i możnym, lecz i wyrobnikom i sługom ich najbiedniejszym. Netel pragnąłby wypowiedzieć swoją myśl Joelowi, lecz brak mu słów, więc trąca go tylko tak lekko, jak przed chwilą wnuk go dotykał, i wskazuje mu kupę ozłoconą, cienie i blaski, układające się na lodzie, potem głaszcząc ręką jego ramię, dotyka jego głowy i milcząc pieści ją długo okiem.

I odchodzą. Znów idą tak wolno, jakby im żal kogoś czy coś opuszczać i jakby się lękali tego, co ich pociąga. Pociąga ich wielki, nieprzeparty prąd, który starców unosi do grobu, karmiąc ich żalami, a dobre, dziecinne serca topi w odmetach nienawiści i samolubstwa.

Netel już umarł, a mały Joel dziś jest Jonaszem Baumem, lichwiarzem. Wejrzenie jego posiada zawsze tyle słodczy, ile jej było w oczach Esterki, ale dusza jego pełna wgardy dla... strąconych liści! On sam jest krzepkim liściem, który przed nadejściem zimy — nie spadnie.

Stary dom rozwalono.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stracone-liscie>

Tekst opracowany na podstawie: *Z jednego strumienia, szesnaście nowel przez dziesięciu autorów z przedmową Elizy Orzeszkowej*, Skład Główny w Księgarni E. Wende i Spółka, Warszawa 1905.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0109-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).